

„Jegor Bułyczow i inni” — Gorkiego, w wykonaniu Teatru im. Wachtangowa. Siergiej Łukjanow w roli Bułyczowa i Elżbieta Aleksiejewa jako Głafira. →



Teatr doskonałych osiągnięć

Egon Naganowski

Gościnne występy czołowych radzieckich zespołów teatralnych są zawsze wielkim przeżyciem dla polskich widzów i wielką lekcją gry scenicznej dla naszych reżyserów i aktorów. Wiemy ile artystycznych wzruszeń dostarczyły nam przedstawienia Leningradzkiego Dramatycznego Teatru im. Puszkina w r. 1951, czy Państwowego Teatru im. Mossowietu w roku ubiegłym. Obecnie zaś mieliśmy okazję zapoznać się z pracą moskiewskiego Teatru im. Wachtangowa, który m. in. bawił też kilka dni temu w Poznaniu, wystawiając „Wiele hałasu o nic” Szekspira, „Jegor Bułyczow” Gorkiego i „Nowe czasy” Mdiwaniego. Te trzy spektakle, reprezentujące klasykę zachodnio-europejską, klasykę radziecką i współczesną dramaturgię Kraju Rad, dały nam doskonały przegląd możliwości i osiągnięć słynnego teatru, odznaczającego Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy.

Najbardziej rzucającą się w oczy cechą Teatru im. Wachtangowa jest jego zespołowość, wyrównana gra wszystkich wykonawców na jednym wysokim poziomie, co świadczy nie tylko o doskonałości materiału aktorskiego, ale też — przede wszystkim — o wysłannym reżyserii. Jako wymowny przykład może tu posłużyć inscenizacja sztuki Szekspira. „Wiele hałasu o nic” należy, jak wiadomo, do pierwszego, optymistycznego okresu twórczości genialnego pisarza, jest wesołą komedią miłosną, wesołą sceniczną zabawą. Ducha tej zabawy, jej perypetie i mistyfikacje, dowcip i barwność, lekkość i taneczność zwłoczną, reżyser Rapaport oddał z doskonałym wyczuciem epoki i szekspirowskiego stylu. Może — kapitał zresztą — sceny bufo to strażnikom miejskim i kukielkowemu pisarzem było nieco zbyt rozbudowane, może ślub Claudia i Hero potraktowano nabyt serio, przez co wy padł po trosze z ram komedii i wywierał raczej wrażenie fragmentu szekspirowskiej tragedii, ale drobne te rozciągłości czy niedociągnięcia ginęły wobec świetności reżyserskiej i aktorskiej roboty, widocznej w całej inscenizacji. Taki np. piknik w ogrodzie Leona był w każdym szczególe majstersztykiem gry zespołowej, podobnie jak wszystkie inne sceny zbiorowe, pełne werwy i polotu. Do sukcesu przedstawienia przyczynili się wszyscy aktorzy z uroczą Celikowską w roli Beatryczy i wybornym Lubimowem w roli Benedykta na czele. Poza jednym jedynym Don Juanem, za mało podłym i zbrodniczym, jak na intencję Szekspira, inni wykonawcy, zarówno słowem, jak i gestem wygrywali mistrzowsko wszystkie odcienie tekstu i zadziwiali niewiarogodną wprost swobodą poruszania się po scenie. Doskonała oprawa muzyczna, stylowe i celowe dekoracje dopełniały spektakl, który w sumie można uznać za wzorowe przedstawienie szekspirowskiej komedii.

Obok zespołowości i wyrównania gry aktorów, w Teatrze im. Wachtangowa uderza — jako punkt wyjściowy każdej inscenizacji — twórcza praca reżysera nad tekstem. I tak np. w sztuce Gorkiego „Jegor Bułyczow i inni” wybitny reżyser Borys Zachawa dokonał całego szeregu przesunięć w stosunku do podstawowego tekstu, by wy dobyć zeń wszystkie najistotniejsze artystyczne i ideologiczne momenty, by nadać widowisku ostro zarysowane kontury. Dzięki temu rozkład i upadek burżuazyjnego świata rosyjskiego, zagłada klasy, której przedstawicielem a zarazem demaskatorem jest bogaty kupiec, Jegor Bułyczow, występują z taką bezlitosną wyrazisto-

ścią, z tak wstrząsającym realizmem. Interpretacyjna praca reżyserska wyjasniła szczególnie satyryczne partie sztuki, silnie m. in. ośmieszyła przedstawicieli czarnoskinnego ideologii — popa Pawlina, przeoryszę Melanę, jak również trójkę szarlatanów — znachorów. Wprawdzie można by chwilami dyskutować, czy pewne farsowe dogrywki — np. we wspaniałej demaskatorskiej rozmowie między Jegorem a Melanią — są konieczne, ale zasadnicza linia obrona przez Zachawę jest słuszną i zgodną z intencjami Gorkiego. To samo odnosi się również w całej pełni do wysłannego skonstruowania dwóch światów — tego, który rozpada się przed naszymi oczyma na scenie i tego, rewolucyjnego, który w śpiewie robotniczej demonstracji narasta za sceną. Jednocześnie jednak reżyser, utrzymując przez cały czas rewolucyjne napięcie za kulisami, nie wyekspozował ponad miarę postaci Łaptiewa i we właściwych proporcjach utrzymał Szurę, nieślubną córkę Bułyczowa, która w doskonałej interpretacji Paszkowej, odbywa, zrazu na wpół tylko świadomie, trudną drogę od klasy ginącej ku klasie wstępującej.

Za największe jednak osiągnięcie spektaklu należy uznać postawienie i wykonanie roli samego Bułyczowa, którego grał Siergiej Łukjanow. Reżyser i aktor wybili tu na pierwszy plan konflikt głównego bohatera z własną klasą, rezygnując — dla większej wyrazistości — z drobiazgowego rysunku psychologicznego. Jedynie objawy strasznej choroby, toczącej Jegorę, otrzymały chwilami nieco zbyt szczegółową, graniczącą z naturalizmem ekspresję, podobnie jak epileptyczne szamotanie się „nawiedzonego” Propotieja.

Jednym z zasadniczych źródeł sukcesów Teatru im. Wachtangowa jest niewątpliwie wielka żarliwość ideologiczna, przepajająca cały zespół. Żarliwość ta pozwoliła reżyserowi i wykonawcom wydobyć wszystkie zalety i — dodajmy — osłabić niedociągnięcia sztuki Georgija Mdiwaniego, zatytułowanej „Nowe czasy”. Otwór ten, przedstawiający problem nieustannego rozwoju moralnego radzieckiego człowieka, rzutowany na tło stosunków w pe-

wnym podmoskiewskim kołchozie — rozciąca ciekawym, lecz nieco statycznym obraz, którego sugestywność zależy w dużej mierze od inscenizacji. I tu właśnie teatr odniósł nowy, najtrudniejszy może sukces. Debiutujący jako reżyser Łukjanow, grający jednocześnie główną rolę przewodniczącego kołchozu Agafonowa, stworzył z

sztuki Mdiwaniego żywą, przemawiającą do widza całość, silnie podkreślił zarówno akcenty dramatyczne, jak i komiczne, a sceny miłosne między bibliotekarką Kokoriną a młodym gleboznawcą Suchowem, przepełnił subtelnym liryzmem. Przede wszystkim zaś w „Nowych czasach” doszła w pełni do głosu największa zaleta Teatru im. Wachtangowa — u-

(Ciąg dalszy na str. 3)

Stary Hardekopf i jego młodszy towarzysze

Janusz Likowski

Mogliśmy się umówić, że zrodziła ich fantazja pisarza, której nie obowiązuje autentyczność postaci. Mają prawo istnieć tylko na papierze; tam doznawać zwycięstw i załamania. Tkwili jednak w obrazie trzech bohaterów głęboka, urzekająca prawda, być może silniejsza od wymogów rzeczywistości metryki urodzenia. Gdy zapoznaliśmy się ze starym Hardekopem, młodym chłopcem, górnikiem, a wreszcie feldwebelm Tomkiem, czy tchnącym życiem, energią, uczciwością rewolucjonista — Ruckersa — musimy uwierzyć, że to nie tylko talenty literackie pisarzy nadały tym ludziom wszelkie cechy żywych, z krwi i kości zbudowanych robotników niemieckich. Nie bez wpływu jest fakt, że napisali te powieści proletariusze. Wilhelm Bredel, to przecież hamburski towarzysz, Hans Marchwitz — górnik, a Karol Gruenberg — nie wykwalifikowany robotnik. Ten ostatni jest w ogóle pierwszym pisarzem — proletariuszem Niemiec, który stworzył powieść o własnej klasie. Utwór powstał w dość osobliwych warunkach. Gdy w 1927 roku pierwsza fala kryzysu pozbawiła Gruenberga pracy, a próby jej uzyskania kończyły się niczym, młody działacz robotniczy zamknął się na cztery zimy we mieszkaniu w sklecone z desek altanie w ogródku działkowym pod Berlinem — i tam swoją westfalską epopeję napisał.

Rozmowa z Hardekopem

Wyobraźmy sobie, że jeszcze żyje: stary, nieco patriar-

chalny, uparty, wierzący, że sama solidarność robotnicza i siła socjalistycznych ideałów będzie można zbudować demokratyczne Niemcy. Ile zawodów przyniosło mu życie? Jest to, być może, rzeczywisty dziadek pisarza, albo ktoś, kogo Bredel dobrze znał, komu na krótkach swej powieści nie szczędził gorczy. Nim stary Hardekopf zamyka oczy — widzi jeszcze, jak fanfary militarystów rozbijają jedność jego drugiej rodziny — partii socjaldemokratycznej. Własny syn ulubiony Fritz ulega urokowi cesarskich trab wojennych, a później prawem paradoksu — jako młody marynarz kilofski — należy do szurmów rewolucyjnej, która cesarską potęgę obala.

Zapytajmy starego stoczniciarza, co by miał dzisiaj do powiedzenia. Zapewne na pełniejszy fajkę, pyknąłby kilka razy, a potem rzekł hamburskim dialektem, ostryźnie wymierzając wyrazy: — Fritz Mengers miał rację. On jeden u nas w stoczni znał drogę, ale go przecięż rozstrzelano. Mengers i szpiegostwo... Był przeciw wojnie. Walczył przeciw niej, a nikt się za nim nie ujął. To była nasza słabość.

Potem przez obłok gryzącego dymu (palik przecięż mocny tytoń) dodałby:

— Ja go wciągnąłem do partii, a nawet ust nie otworzył.

I w tym krótkim stwierdzeniu zawarłby stary Hardekopf swoją postawę.

Gdyby mógł jeszcze raz być młodym! Nie dałby wykoszować swojej rozmowy z Augustem Beblem. Och! pokażby redaktorowi Bernowi, gdzie pieprz rośnie. Wierzył najwinnie w wybory, w legalność walki o sprawiedliwe Niemcy. Takich przecięż chciał, a zamiast socjalistycznych ideałów wyrosł ponad głowami jego klasy otyli bonzowie, geszefciarze w skórze przywódców robotniczych. Czy to ważne, jak się nazywają? Schoenhausen! Ten może był najgorszy, ale przecięż wokół niego kłębiło się tylu mniejszych. Zdzierali czerwien z naszych sztandarów.

— Cesarzcy socjaldemokraci! Chciałbym widzieć wnuka Waltera, jak dorosnie. Ten nie popełnił błędów dziadka.

Nie można staremu weteranowi sypać soli na rozjatrzone rany. Młody Walter, czy doświadczony Ruckers walczyli z republiką Schoenhausenów, lecz przegrali, a później ta republika, jak kameleon przybrała barwę brunatną — i pajęczy znak swastyki.

Tak. Błędy niemieckich ojców mściły się na synach. Poznał to feldfel Tomek.

Jego młodość

Cóż za młodość miał robotniczy syn gdzieś pod Bytomiem, czy Gliwicami w ce-

sarskich Niemczech? Jeden chleb jadł z górnikami polskimi. Zjeżdżał do kopalni, pracował w hucie, tęsknił do jakiegoś szczęścia, w którym nie będzie mroku czarnego chodnika i pracy ponad chłopięce siły. Często nie wie my: opowiada nam Tomek, czy Hans Marchwitz, bo przecięż to te same osoby. Kiedyś robotniczy, niemiecki pisarz przyjechał w 1948 roku do Wrocławia i do robotników Paławagu odezwał się najczystsza gwara śląska.

— Pierona! Miał rzeczywiste „młodość” Hans Marchwitz!

Dzieje w Westfalii, wólcęga, a potem wojna: okropna, za cudze sprawy. Feldfel Tomek jakoś znalazł wyjście. Przeszedł front pod Verdun, czy gdzieś z flandryjskich okopów — na drugą stronę. Zaprotestował ze swymi towarzyszami przeciw wojnie. Ale czy zdobył się na krok rewolucjonisty? Czy obrócił lufę karabinu na rzeczywistych sprawców nieszczęść narodu niemieckiego, na tych, co wbijali drugiemu bagnety w piersi z wraskiem „fuer Kaiser und Vaterland”? O, tego doświadczenia jeszcze Tomek — Marchwitz nie miał w chwili, gdy na kartkach książki zakończył autobiograficzne dzieło. Być może nastąpiło to niedługo później.

Zapytajmy feldfelę Tomka, dlaczego przeszedł do nieprzyjaciela.

— Nieprzyjaciela? — zdziwił się. — Któż był moim przeciwnikiem w okopach po tamtej stronie? Za coś miałem walczyć: za dodatkowe szczyty w kopalni, przynoszące zyski panom baronom o białych, wypielegnowanych rękach? O dwunastogodzinne dniówki cesarza, o bandę feldmarszałków, generałów i ministrów. To była nie mojej klasy sprawa.

A gdzie była sprawa klasy feldfelę Tomka?

— Historia nie wraca, ale gdybym miał późniejsze doświadczenia... Karabiny w odwrotnym kierunku i kolba mi po łbach generałów, majorów, leutnantów. Nie starczyło decyzji. Gdy przyszła, było za późno, a widzieliśmy wzór rewolucji. Potem w dziesiętnastym roku wpęzł na fotele ministrów jaszczurcze plemię prawicowych socjaldemokratów. Niech opowie towarzysz Ruckers...

Ruckers i wrogowie

Był rok 1920. Robotnicze powstanie w Zagłębiu Ruhry, które płonęło i Peter Ruckers, jeden z organizatorów niemieckiej Czerwonej Armii (taka nosiła nazwę) — która zwyciężała.

— Podnieśliśmy broń — rzekłby górnik westfalski — przeciwko pucziowi Kappa, gdy oficerski spisek chciał obalić republikę. Socjaldemo-

kratyczni ministrowie wezwali robotników do obrony konstytucji, a potem na broniących demokracji proletariuszy nastali Reichswehry z cesarskimi generałami, by zwyciężyli w Zagłębiu Ruhry. Nie myślcie, że w otwartej bitwie. Tam nasi towarzysze byli górą. Podstępem. Zdradą ministrów socjaldemokratów... Krew do głowy uderza, że używali tej nazwy. W płonącym Zagłębiu Ruhry rozdzieli się bestialstwa późniejszego brunatnego faszyzmu. Artyleria ostrzeliwała dzielnice mieszkalne rozbrojonych już robotników. Chwytno przypadkowych przechodniów i stawiano pod ścianę. Generałowie i pułkownicy krótkim: „Erschossen!” zastępowali procedurę sądową...

*

Pamiętajcie! Rzecz działa się nie w Polsce, nie na Ukrainie, Białorusi, we Francji czy Grecji — a w Niemczech. Dwadzieścia lat przed Wrześniem. Naprzeciw klasy robotniczej stanęli jej żaźnacy wrogowie z szaleńczym hasłem, które oblała rzeka krwi: — Ausrotten!

Och, towarzyszu Ruckers! Chciałoby się z Wami pogadać, bo przecięż my Polacy nie zawsze znamy niemieckie sprawy. Pamiętamy bardziej tych, którzy i do Waszych piersi kierowali salwy egzekucji. Krzyżacki cień swastyki niejednemu z nas przesłonił starego Hardekopa, feldfelę Tomka i Ciebie, przyjacielu Ruckers. A przecięż, gdyby was trzech zebrać razem, gdyby front drugiej wojny światowej przeciwko faszyzmowi przebiegał nie geograficznie, a w poprzek narodów — jak rysowała się istota walki — być może stali byśmy obok siebie, o krok zaledwie jeden obok drugiego.

Znajduje się w drugim to-

mie powieści Bredla („Synowie”) piękny moment. Rodzi się syn wnukowi starego hamburskiego stoczniciarza. Dwudziestoletni młodzieniec jest w więzieniu, skazany za działalność rewolucyjną w partii komunistycznej. Terror reakcji szaleje. Od matki swego dziecka otrzymuje Walter krótkie zawiadomienie:

„Urodził się syn. Dłama mu imię Wiktor, co znaczy — zwycięzca...”

Nie można odłożyć bez wzruszenia finału tej książki. Przecięż Wiktor, to pokolenie, które naprawdę zwycięża. Miast wymierzonych luf karabinowych wyciąga do sąsiadów braterską, przyjacielską dłoń, która serdecznie ściska. Pokolenie Wiktorów dźwiga bowiem tradycję Hardekopów i Ruckersów.

*) „Ojcowie” — W. Bredel.

**) „Moja młodość” — Hans Marchwitz.

***) „Zagłębie Ruhry płonie” — Karl Gruenberg.

17 - XI - 1953
Międzynarodowy Dzień Studenta

LIST Z SUDANU

Dyskusja została zamknięta. Przerwa. Drugi dzień Warszawskiej Konferencji. Spotkaliśmy się na korytarzu, — łok, że deptano sobie po piętach! — powiedziałem swój adres i znikł mi w zamęcie gorączkowych rozmów, w różnorodnej gwarze...

*

Żółta koperta, przez listonoszów w drodze pomyła, kojarzy się w mojej pamięci ze zniszczonym wyglądem jego twarzy.

Nazwiska mojego nie spałmiał. Przekreślił.

Bo nazwisko dla niego nieważne — on pisał do polskiego studenta!

Czytaj polski studentie!

Czytaj

list o snach na bulwarze — zebrałych snach o znalezionej pracy, list strasznym gruźliczym kaszlem i głodem rozsądającym czaszkę przerywany bezustanku, list z pięknym pałacem na pocztowym znaczku...

Pałac jest własnością angielskiego banku.

RYSZARD DANECKI

Naukowcy poznańscy badają dzieje Pomorza zachodniego

Pod tytułem „Szczecin czeka“ wydrukowano w dodatku „Nowy Świat“, r. IV nr 44 z dnia 25 października 1953 roku korespondencję, w której omawiając bujny rozwój życia kulturalnego w tym mieście, przypomina się środowisku poznańskiemu jego zobowiązanie roztoczenia „patronatu kulturalnego“ nad młodym społeczeństwem Szczecina. W końcu zwraca się z apelem do Uniwersytetu Poznańskiego, a szczególnie do jego Seminarium Historycznego, by „poważnie“ zainteresowały się materiałami historycznymi, zalegającymi w szczecińskim Archiwum Państwowym, Bibliotece i Muzeum. Słów tych nie można rozumieć inaczej, jak tylko, że Seminarium Historyczne i w ogóle poznański ośrodek historyczny nie spełniają należycie swego patronatu. Może więc nie zaważyli tych kilka słów, które wyrażała: jaki ma udział środowisko poznańskie w badaniu przeszłości Pomorza Zachodniego i jakie na drodze do wypełnienia swego zobowiązania napotyka trudności i jakie ma sukcesy i niepowodzenia.

Zainteresowanie przeszłością Pomorza Zachodniego w naukowym środowisku poznańskim sięga lat przedwojennych. Przedmiotem ich były głównie czasy piastowskie, kiedy związki Pomorza z Polską wydawały się najbardziej ożywione. Ten kierunek badań bez przeszkód i z dużym powodzeniem kontynuowano po wojnie. Owocem były między innymi wnikliwe studia prof. Wł. Kowalewskiego o najstarszych portach słowiańskich, dr H. Chłopockiej o słowiańskim Szczecinie i prof. K. Myślińskiego o stosunkach polsko-pomorskich w XII wieku (obie prace odznaczone nagrodą na VIII Zjeździe Historyków Polskich we Wrocławiu w r. 1948). Historycy i archeolodzy poznańscy włączyli się do badań ziemnych organizowanych w Szczecinie i w Wolinie. W rezultacie czego powstał cały szereg prac monograficznych poświęconych gospodarstwu i handlowym kontaktom Pomorza z polskim zaplecem, problematyce badań wczesnośredniowiecznych w Szczecinie, lokalnej miejskiej Szczecina, stosunkom prawnym łączącym ksiąztwo pomorskie z Polską w XV w. Także wiele innych pomniejszych prac drukowanych jest w poznańskich organach naukowych, jak Przegląd Archeologiczny, Z odczynianiek, Slavia Occidentalis, Slavia Antiqua, Roczniki historyczne, a zwłaszcza Przegląd Zachodni. Szereg dalszych prac badawczych nad średniowiecznymi dziejami Pomorza Zachodniego jest w toku.

Jeżeli tedy badania okresu średniowiecza nie tylko nie doznały zahamowania w stosunku do przedwojennych, ale jeszcze znacznie je przewyższyły pod względem szeregości poruszanej problematyki, to zawdzięczamy to wytrwałej pracy pedagogicznej środowiska uniwersyteckiego tak z czasów przedwojennych, jak i powojennych (seminaria prof. J. Kostrzewskiego, K. Tymienieckiego, Z. Wojciechowskiego, J. Widajewicza, M. Rudnickiego i innych). Obok wypróbowanej kadry starszych badaczy stanęli przy warsztacie pracy naukowej liczni młodzi pracownicy.

Zupełnie inna sytuacja stała się przed nami w zakresie opracowania dziejów nowszych. Poza zgasiłym niedawno prof. Bodniakiem, znakomitym badaczem dziejów polskiej floty bałtyckiej, środowisko poznańskie nie dysponowało żadną kadrą przygotowaną do opracowania ogromnych zbiorów materiałów historycznych, jakie się nagle po przejęciu archiwum i bibliotek szczecińskich pojawiły przed historykami polskimi. Jeszcze w roku 1947 przewieziono poważny zespół akt archiwum ksiąg szczecińskich z XVI do XVIII wieku do Poznania. Przystąpiono do szkolenia młodych adeptów w umiejętności czytania dokumentów zapisanych trudno czytelną kursywą gotycką i do ich rozumienia przez gromadzenie słowników dialektów dolnośląskich oraz opracowywania tematyki pomorskiej na seminariach i ćwiczeniach. Każdy obeznany z tekstem studiów wie, że takie prace pedagogiczne muszą trwać lata całe, zanim z wielu adeptów wyłoni się odpowiednia kadra badaczy.

A teraz kilka słów o rezultatach tej pracy. Wysoki poziom naukowy osiągnęły takie prace zbiorowe opublikowane przez działający w Po-

znańskich uczonych bazujący Instytut Zachodni, jak Monografia Odry, Ziemia Lubuska, Pomorze Zachodnie tom I—II, które w popularnym ujęciu przybliżyły przeszłość i teraźniejszość tych ziem polskiemu czytelnikowi. Oprócz tego Instytut Zachodni opublikował w swym organie „Przegląd Zachodni“ cały szereg prac drobniejszych będących częściowo dorobkiem badaczy poznańskich, częściowo spoza Poznania.

Wydanie wielu prac jest dowodem, że poznański ośrodek naukowy, a zwłaszcza historyczny, na serio potraktował swe zobowiązanie o patronacie kulturalnym.

Obok tego kierunku naukowego i naukowo-popularnego, reprezentowanego głównie przez Instytut Zachodni, rozpoczął się w Poznaniu od nowa nurt czysto naukowych badań. Po kilkuletnich wysiłkach pedagogicznych mamy już dziś przy Uniwersytecie Poznańskim kilkusobową kadrę młodych historyków, która jest gotowa do podjęcia dalszych badań nad przeszłością Pomorza Zachodniego. Będzie ona coraz intensywniej wykorzystywała stary akt i ksiązek, zalegających dotąd martwo półki archiwum i

bibliotek szczecińskich. Z inicjatywy Instytutu Zachodniego zespół młodych pracowników naukowych przystąpił do przygotowania wyboru akt oświetlających główne momenty dyplomatycznych stosunków polsko-pomorskich w XVI i XVII w. i stosunków gospodarczych w tym samym okresie. Zmudna ta praca zapała się na kilka lat. Trzeba równocześnie zaznaczyć, iż poza zakładami zespołu katedr historycznych, tematyka pomorska jest również uprawiana w zakładach historyczno-prawnych.

Do niedawna wszystkie te prace miały charakter szeregowych inicjatyw, zależnych w dużej mierze od istniejących środków technicznych i będącego pod ręką materiału naukowego. Ten niepomysłny i przejęsliwy stan rzeczy uległ radykalnej poprawie z chwilą utworzenia Polskiej Akademii Nauk, a od 1 stycznia 1953 roku Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, odpowiedzialnego odąd za całokształt planowanych badań historycznych w Polsce. Przy Instytucie został utworzony specjalny Zakład Historii Pomorza z siedzibą w Poznaniu, a obok niego istnieją jeszcze osobne pracownie w Toruniu i w Warszawie. Pracownia warszawska zajmuje się zagadnieniami historii Bałtyku, pracownia toruńska nowszymi dziejami Pomorza Wschodniego (Pomorze Gdańskie i Mazowieckie). Zakład poznański specjalizuje się m. in. w historii Pomorza Zachodniego. W obecnym układzie rzeczy na Zakład Historii Pomorza spada obowiązek planowania i koordynowania całokształtu prac nad przeszłością Pomorza w porozumieniu ze środowiskami uniwersyteckimi i innymi instytucjami naukowymi.

W pracy swej Zakład Historii Pomorza bazuje całkowicie na młodej kadrze naukowej, wychowanej już po wojnie, wykorzystując cały dorobek dotychczasowej historiografii. Oczywiście poddaje ją krytycznej ocenie metodologicznej i metodologicznej, kierując się w swej pracy wskazówkami teorii marksizmu-leninizmu. Zespół ten opracowuje w tej chwili cały szereg referatów i prac monograficznych poświęconych dziejom Pomorza. Sprawozdanie z postępu tych prac przynosi ostatni zeszyt Kwartalnika Historycznego, r. LX (1953) nr 3, str. 326—329. W planie prac mieści się również kilkutomowa historia Pomorza, której rozdziały zachodnio-pomorskie zostaną, prawie w całości opracowane przez badaczy poznańskich.

Jesteśmy dopiero u progu planowej działalności badawczej nad przeszłością Pomorza Zachodniego. Na pierwsze poważniejsze rezultaty tej pracy wypadnie jeszcze kilka lat poczekać, choć owoce trudów pierwszych lat powojennych są już widoczne. Sądzi więc, że udział środowiska poznańskiego w tych badaniach nad poznaniem przeszłości Pomorza Zachodniego nie jest mały. Musimy się jednak przyznać do jednej poważnej winy: o tych pracach za mało informowaliśmy, za mało przekazywaliśmy społeczeństwu — zwłaszcza na terenie samego Szczecina. Możemy jednak donieść, że obecnie ten stan rzeczy uległ poprawie. Utworzenie w Szczecinie oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego stwarza platformę, na której zetknęli się badacy poznańskich, i nie tylko poznańskich, z środowiskiem szczecińskim zostało umożliwione.



Muzycy przy swej pracy. Przy pulpicie dyrygent Henryk Duczmal.

„Dziadek do orzechów“ i babcia

Im bliżej Pakości, tym wolniej sunął nasz autobus. Na drodze coraz więcej wozów i pieszych. Młyny nam rzędyły: na pewno zwołano w miasteczku jakieś nadzwyczajne zebranie; będzie „klapa“ z koncertem. Tak się nam źle gra przed widownią pełną łysin. Że też tak wypadło z tym zebraniem, akurat dzisiaj.

Tymczasem...
Ci ludzie zdążający do miasta — mieli niebawem zapełnić po brzegi salę w Pakości, w której zapowiadano koncert Symfonicznej Orkiestry Objazdowej Tow. Filharmonii Robotniczej w Poznaniu.

Trzy razy w ciągu jednego dnia koncertował poznański zespół w tej sali i trzy razy znajdowała się w niej starsza kobieta w chustce. Po drugim koncercie dowiadywała się u organizatorów o to, czy na ostatnim, wieczorowym występie „grać będą coś innego“.

Innym razem zgłosił nagle światło w sali w pewnej nie dużej miejscinie pod Jarocinem. Graliśmy właśnie utwór, który rzeczywiście umiemy grać... na ciemno. W tym czasie znajdujący się na koncercie młody elektrotechnik zdołał w krótkim czasie usunąć przeszkodę w oświetleniu. Oklaski, jakie zebraliśmy, należały się na pewno nie nam.

Niektóre instrumenty wydają się dziwaczne, choćby taki fagot. Jak się na tym gra? Jakże z niego płyną tony? Nie dziwi nas więc częste odwiedzin za estradą, zwłaszcza młodych słuchaczy, którzy proszą o dokładne objaśnienia. Doszliśmy do wniosku, że przed każdym koncertem należy objaśnić mniej znany solowy instrument w danym utworze. Ta dydaktyczna metoda okazała się bardzo słuszną i celową.

Nasz 32-osobowy zespół symfoniczny coraz częściej występuje w wielu miejscowościach, powiększony o znajdujące się w nich chóry świetlicowe. Ta więź zacieśniająca nas z chórkami na prowincji już niedługo, a wyda cenne owoce i przyczyni się do większego umuzykalnienia świetlicowych zespołów, podniesie ich artystyczny poziom.

Henryk Duczmal, dyrektor i kierownik artystyczny Symfonicznej Orkiestry Objazdowej najbardziej cieszy się z licznych sal koncertowych na prowincji, gdzie słuchacze zdołali się już rozsmakować w muzyce symfonicznej. Klasycy jak Beethoven, Mozart czy Schubert stają się dla tych audytorów już nieodzowni.

Czajkowski „Dziadek do orzechów“ czy fragmenty „La-będziego Jeziora“, daleki utwór Bałakirewa i Glinki (jeśli chodzi o twórczość rosyjską) — to żelazne pozycje w naszym repertuarze, zawsze wysłuchiwane z wyczuwalnym skupieniem.

Od 1 stycznia br. daliśmy 112 koncertów w 55 miejscowościach Wielkopolski. W Miasteczku Pogłębiecia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej miast 13 zaplanowanych koncertów graliśmy 24 koncerty. Starczy chyba na poznanie gustów i smaku „małej widowńi“ w miasteczkach i miejscach.

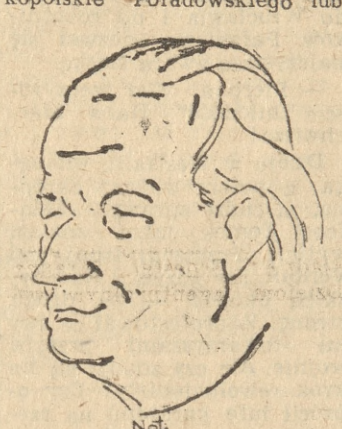
Dlatego też radziecki kompozytor Chaczaturian jest bardziej znany niż by się wydawało. Kabalewski w swych utworach pełnych życia i arty-

stycznego temperamentu — znajduje na widowni chłonnych odbiorców, nagradzających twórców najszczerzej.

W naszym zespole mamy tak wybitnych muzyków-solistów jak: skrzypkowie: koncertmistrz Adam Kurylko, Mieczysław Głazowski czy Ludwik Kwaśnik.

Orkiestrą — mówi Henryk Duczmal — dyryguje Leszek Rezler, a w każdym koncercie występuje zawsze solista — śpiewak lub śpiewaczka. Korff, Kawałka, Doruchowa, Ela Zakrzewska, Kossowski, Przaga, Łukasik, Mikulin — oto śpiewacy, którzy nie rozstają się z nami w wędrowkach po całej Wielkopolsce.

A właśnie, Wielkopolsce. Trzeba wam słyszeć, trzeba widzieć to rozpromienione twarze, gdy rozlegną się „Tańce wielkopolskie“ Poradowskiego lub



Skrzypek - koncertmistrz Adam Kurylko

„Kasia“ Wiechowicza. Skrzypcy, uśmiech wykwita na twarzach, to znówu zaduma...

Gramy tym ludziom spragnionym szczerych wzruszeń i Kurpińskiego (uwertury) i Kiesewettera (suity) i naszego zawsze żywego Moniuszkę (m. in. wyjątki z mało znanej opery „Jawnuta“).

Zaczęła się rozmowa od tej babci, która zasłuchana w Czajkowskiego „Dziadku do orzechów“ domagała się jeszcze innej muzyki. Rozmowa napawała otuchą, że nie tylko książki trafiają pod strzechę. Tylko, że po chwili nasza rozmowa zmieniła się z tonacji mellowej na twarde dur.

Widzi pan — kiwa głową Henryk Duczmal — w Kaliszu w Pluszowni uważają, że ich zespół mandolinistów wystarczy za Schuberta czy Glinkę. „Jakiś tam utwór symfoniczny“ (babcia w Pakości była na trzech koncertach). Nie warto na poznańską orkiestrę rozprowadzać biletów.

I referat kulturalno-oświatowy w Pluszowni nie rozprowadza. Albo z tym wynajmowanym autobusem; ile on pożera pieniędzy za różnicę przejazdów? Własny dawno by się zamortyzował. Nie zadowolę kłopotów, jakie pokonywać musi nasz kierownik administracyjny Tomasz Droszcz. Na jego ręce nadchodzi stale lista, a w nich: przyjeżdżajcie, przyjeżdżajcie. Jeździ się więc z myślą o tym, że 10% z biletów wstępu trzeba oddać na dzierżawę sali, że osobno płaci się za jej sprzątnięcie, że... Kłopoty? Ale, ludzie kochani, jaka piękna jest nasza praca! Przecież wnuczka tej babci z Pakości będą w krótkim czasie dojrzałymi bywalcami koncertowych sal.

Oto w czym rzecz. t. h. n.

Sprawa Błażeja Spakuli zamieszkałego na kolonii Pustki, w gromadzie Mrok Dolny, trwała 9 dni. W poniedziałek 19 października, jego farni Jan Cieślak, pismem Związku Zawodowego Pracowników Rolnych został wezwany do Komitetu Gminnego Partii. Sekretarz Tomaszewski miał w ten poniedziałek trudny dzień. Od 10 rano trwał zebranie zespołu gminnego. Plan skupu zboża nie wyglądał najlepiej. Najgorzej rzecz się miała w Mrokach Dolnych. — „Taki Spakula — dowodziło wielu — nie może oddać, to co dopiero my“.

Bogacz miał duży wpływ na gromadę, oddalony od siedziby gminy. Odstawił tylko 12 ton, gdy plan przewidywał 38. Zespół gminny doszedł do wniosku, że opór Spakuli i kilku jego bogatszych sąsiadów musi być złamany, inaczej plan skupu w gminie będzie leżał.



Sekretarz Tomaszewski wspominał na zebraniu o piśmie, jakie był otrzymał poprzedniej soboty w sprawie Cieślaka. Nikt jednak tego tematu nie podjął. Trudno było jeszcze wtedy przewidzieć, że list ten przyczyni się w zasadniczy sposób do wyjaśnienia sytuacji w gromadzie i do ujarzmienia kufaka.

Zebranie skończyło się przed trzecią. Tomaszewski rozmawiał na korytarzu z kilkoma aktywistami, gdy na zajeździe przed domem pojawił się Cieślak.

Był wysoki, trochę zgąrbiony — słońce przygrzewało tego dnia dość mocno, więc miał na sobie tylko brunatną kurtkę rozpiętą pod szyją.

Rozmowa z Tomaszewskim nie trwała pół godziny. Cieśl-

Piotr Guzy

PRZEGRANA

lik potwierdził treść listu i dodał od siebie kilka uzupełniających szczegółów. Spakula zalegał mu z wypłatą 3-miesięcznego wynagrodzenia, razem 540 zł. Umowa wprowadziła tylko ustną, przewidywała 200 zł miesięcznie. Od lipca wypłacił jedynie 60 zł.

— Dał mi co prawda — mówił Cieślak — ubranie, ale jakie tam ubranie. Do roboty nawet nie najgorsze, pokazać się w nim jednak przed ludźmi, wstyd.

— Należycie do związku?

— Nie. Chciałem wstąpić na wiosnę, ale Spakula odradził. Teraz napisałem do związku, bo jak mi się krzywdzi dzieje, to gdzie pójść?

Kiedy Cieślak wstał z krzesła i podawszy dłoń skierował się ku drzwiom, Tomaszewski spytał:

— A słuchajcie, Cieślak. Mamy tu dzisiaj dużo gadali o tym Spakuli. Słabo wywiązuje się z planem. Jeszcze nie ma 30 proc. Powiedzieć, ma on zboże?

— Słuchajcie, to i chyba ma. Ile? Nie wiem, w czasie młócenia byłem chory, ale żona mówiła, że nieźle sypało.

— A żona skąd wie?

— Za mną musiała iść do roboty. Ma, ma zboże, nie dajcie się przez niego nabrać. Przedwcześniej jeździł z 4 cetnarami do młyna.

— Po co?

— Do śrutowania. On ma swój własny śrutownik, ale się popsuł, części nie może nigdzie do niego kupić. A w zeszłym tygodniu sprzedał Walczakowi 3 cetnary.

Sekretarz podniósł brwi i sięgnął po okładek.

— Byłście przy tym?

— Nie, ale słyszałem.

— No, dobrze, to jak mówiliśmy, napiszcie nie może dokładnie z datą, kiedy umowa była zawierana, przy kim i na jakich warunkach. Krzywdy wam nie damy zrobić. Zapłaci wam.

Tego samego dnia kapral MO Pionkowski pojechał do młyna. Wzdłuż drogi ciągnęły się drzewa, koła roweru grzęzły w czerwonych i żółtych liściach rozspanych na ścieżce.

Otwierając furtkę, zdawało mu się przez moment, że zobaczył w oknie twarz młynarza. Młyn stał z lewej strony domostwa, szło się do niego przez sad. Pionkowski znalazł się w sieni i zapukał.

Odpowiedział mu kobiecy głos. Żona stała przy piecu, pod oknem siedziało może 4-letnie dziecko.

— A gdzie mąż? — spytał Pionkowski.

— W młynie chyba. Co pan chciał od niego?

W sieni odezwały się głosne kroki. Młynarz otworzył drzwi i wszedł do środka.

Komendant zażądał pokazania mu ksiąg! przychodowej. Przerzucił niedbale zabrudzone kartki — nazwiska Spakuli nie znalazł.

— Każdą robotę wciągacie do ksiąg?

— Każdą. Taki jest przepis. Pan wie, przepisy dzisiaj surowe. Ha, ha — zaśmiał się — ładnie bym wyglądał, gdyby tam czegoś brakowało. Na to tylko czekała.

— Kto?

Młynarz oczerwieniał.

Nazajutrz Cieślak stwierdził stanowczo, co stało się zaprotokolowane, że w sobotę Spakula zawiadzi żyto do młyna. Sam zresztą pomagał mu ładować wóz, więc o pomocy nie mogło być mowy.

To była jedna sprawa. Druga — to sprzedaż zboża Walczakowi. W czasie, gdy Pionkowski pedałował do niego, w Prezydium GRN odbywało się zebranie aktywów gminnego. Spakula wszedł na salę. Był to niski mężczyzna o przyjemnej twarzy i gładko przyczesanych włosach. Kiedyś musiał być przy-

Szukamy nowych roślin uprawnych

Ciekawa jest historia naszych roślin uprawnych, z których wiele sięga bardzo zamierzchłych czasów. I tak na przykład z grupy roślin zbożowych, uprawianych w Polsce od najdawniejszych lat — najstarszą i najczęściej uprawianą rośliną było proso, które według notatek pisarzy arabskich i greckich było głównym zbożem słowiańskim. Spotykamy je w znaleziskach w Bonikowie pod Kościanem, w Gieczu pod Środą, w Gnieźnie, na Ostrowiu Tumskim w Poznaniu oraz ze znacznie wcześniejszego okresu na Śląsku i w Miechowskim. Podobnie jak jęczmień i pszenica proso znane więc było na naszych ziemiach już około 4 tysięcy lat temu, a jego ojczyzną była Azja Wschodnia (Chiński Turkiestan, Buchar, przyległe kraje). O ile na wschodzie uprawa proso zajmuje dziś jeszcze poważne miejsce (dzięki odporności na suszę) — o tyle w Polsce i na zachodzie ekonomiczne znaczenie proso jest niewielkie, a zasiew wynosi obecnie u nas zaledwie około 0,58% ziemi ornej.

Dawny chwast

Owies jest rośliną stosunkowo młodszą, wywodzi on się z obszarów przednio azjatyckich od rosnącego tam dziko owsa gluchego. Grecy i Rzymianie nie znali owiesu, jako chwast lub zboże małej wartości pastewnej. W Europie po raz pierwszy spotykamy owies w Szwajcarii w osadach palowych z okresu brązu. W Polsce natomiast pewne znaleziska owsa uprawnego mamy dopiero w okresie wczesno piastowskim. Spotykamy wówczas pierwsze ślady upraw roślin pochodzących z Azji: konopi, marchwi, ogórka, którego ojczyzną były Indie, oraz wyki, przybyłe z krajów śródziemnomorskich. Wartość paszową wyki znali już Rzymianie. Pierwsze polskie piśmienne publikacje dotyczące uprawy wyki, datują się z początku wieku siedemnastego.

Przodkowie jedli bob i fasole

Badania naukowe dowodzą, że w wykopaliskach okresu halstańskiego, tj. ok. 2 i pół tysiąca lat temu, pojawiają się u nas pierwsze ślady uprawy lnu, którego ojczyzną do dziś nie została ustalona, oraz maku, który wywodzi się z Chin i środkowoeuropejskich republik radzieckich. Z lnu, i pojawiających się później konopi, robili nasi przodkowie powrozy i tkaniny oraz wytłaczali olej. Groch, bób i soczewica pojawiają się na ziemiach polskich również w okresie halstańskim, czyli ok. dwa i pół tysiąca lat temu. Ojczyzną form gruboziarnistych tych roślin jest obszar śródziemnomorski i północno-afrykański. Form drobnoziarnistych zaś obszar południowo-zachodnio-azjatycki. Zarówno biskupińskie jak i śląskie znaleziska wskazują, że groch, soczewica i bób musiały być dawniej uprawiane na naszych ziemiach w znacznej ilości, stanowiąc główne pożywienie ludności. O ile jednak uprawa bobu i soczewicy stopniowo zaczęła maleć, o tyle szeroka uprawa grochu na przestrzeni stuleci przetrwała do naszych czasów. Warto

Dziś kieruje rozwojem — człowiek

Formowanie się nowych określonych odmian czy form nie było w dawnych czasach przez ludzi kierowane. I tak na przykład pierwsze próby otrzymania nowych odmian grochu drogą krzyżowania pochodziły z końca 18 wieku z Anglii. W innych krajach prace hodowlane rozpoczynają się dopiero kilkadziesiąt lat później. Wprowadzenie do uprawy nieznanych dotąd roślin pozostawione zostało przypadkowi, związanemu z okolicznościami postronnymi.

Obecnie rośliny nasze stanowią na przełomowym etapie swego rozwoju. W oparciu o zdobycie nauki radzieckiej kraj pokrywają liczne stacje doświadczalne i naukowo badawcze, stacje hodowlane, stacje Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin, Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa. W oparciu o nowoczesne zdobycze wiedzy w skróconym czasie wyprowadza się coraz to nowe odmiany, udoskonalając je i dostosowując do miejscowych warunków i potrzeb. Sztaby naukowców pracują bez przerwy. Rozwijają się masowo własne nasienne i importowane odmiany różnych cennych roślin jak trawy, lucerna czy kukurydza.

Wprowadza się do masowej uprawy nowe rośliny: jukę i kanatnik — na włókno, rącznik, krokosz, rzodkiew oleistą, kapustę abisyńską, dynię oleistą, perillę — na olej czy wreszcie pieprz turecki, a nawet ryż.

Wspomnieć, że już w dziewiętnastym wieku ziemie województwa poznańskiego produkowały grochu najwięcej, a z ogólnej powierzchni uprawy ok. 2/3 przypadało na gospodarstwa drobne.

Z młodszych roślin uprawnych wspomniemy jeszcze o kukurydzy, którą w Polsce zaczęto uprawiać dopiero w końcu 18 wieku. Kiedy Krzysztof Kolumb w roku 1492 odkrył Amerykę — kukurydza była tam szeroko uprawiana jako jedyne zboże. Przewieziona natychmiast do Europy kukurydza już w 16 wieku rozpowszechniła się szybko w Afryce, Chinach i Malej Azji. Większość uczonych twierdzi, że ojczyzną kukurydzy jest Meksyk, gdzie uprawa tej rośliny sięga co najmniej trzech tysięcy lat.

Formowanie się nowych określonych odmian czy form nie było w dawnych czasach przez ludzi kierowane. I tak na przykład pierwsze próby otrzymania nowych odmian grochu drogą krzyżowania pochodziły z końca 18 wieku z Anglii. W innych krajach prace hodowlane rozpoczynają się dopiero kilkadziesiąt lat później. Wprowadzenie do uprawy nieznanych dotąd roślin pozostawione zostało przypadkowi, związanemu z okolicznościami postronnymi.

Obecnie rośliny nasze stanowią na przełomowym etapie swego rozwoju. W oparciu o zdobycie nauki radzieckiej kraj pokrywają liczne stacje doświadczalne i naukowo badawcze, stacje hodowlane, stacje Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin, Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa. W oparciu o nowoczesne zdobycze wiedzy w skróconym czasie wyprowadza się coraz to nowe odmiany, udoskonalając je i dostosowując do miejscowych warunków i potrzeb. Sztaby naukowców pracują bez przerwy. Rozwijają się masowo własne nasienne i importowane odmiany różnych cennych roślin jak trawy, lucerna czy kukurydza.

Wprowadza się do masowej uprawy nowe rośliny: jukę i kanatnik — na włókno, rącznik, krokosz, rzodkiew oleistą, kapustę abisyńską, dynię oleistą, perillę — na olej czy wreszcie pieprz turecki, a nawet ryż.

Wspomnieć, że już w dziewiętnastym wieku ziemie województwa poznańskiego produkowały grochu najwięcej, a z ogólnej powierzchni uprawy ok. 2/3 przypadało na gospodarstwa drobne.

Z młodszych roślin uprawnych wspomniemy jeszcze o kukurydzy, którą w Polsce zaczęto uprawiać dopiero w końcu 18 wieku. Kiedy Krzysztof Kolumb w roku 1492 odkrył Amerykę — kukurydza była tam szeroko uprawiana jako jedyne zboże. Przewieziona natychmiast do Europy kukurydza już w 16 wieku rozpowszechniła się szybko w Afryce, Chinach i Malej Azji. Większość uczonych twierdzi, że ojczyzną kukurydzy jest Meksyk, gdzie uprawa tej rośliny sięga co najmniej trzech tysięcy lat.

Formowanie się nowych określonych odmian czy form nie było w dawnych czasach przez ludzi kierowane. I tak na przykład pierwsze próby otrzymania nowych odmian grochu drogą krzyżowania pochodziły z końca 18 wieku z Anglii. W innych krajach prace hodowlane rozpoczynają się dopiero kilkadziesiąt lat później. Wprowadzenie do uprawy nieznanych dotąd roślin pozostawione zostało przypadkowi, związanemu z okolicznościami postronnymi.

inż. Maciej Rembowski

Wspomnieć, że już w dziewiętnastym wieku ziemie województwa poznańskiego produkowały grochu najwięcej, a z ogólnej powierzchni uprawy ok. 2/3 przypadało na gospodarstwa drobne.

Z młodszych roślin uprawnych wspomniemy jeszcze o kukurydzy, którą w Polsce zaczęto uprawiać dopiero w końcu 18 wieku. Kiedy Krzysztof Kolumb w roku 1492 odkrył Amerykę — kukurydza była tam szeroko uprawiana jako jedyne zboże. Przewieziona natychmiast do Europy kukurydza już w 16 wieku rozpowszechniła się szybko w Afryce, Chinach i Malej Azji. Większość uczonych twierdzi, że ojczyzną kukurydzy jest Meksyk, gdzie uprawa tej rośliny sięga co najmniej trzech tysięcy lat.

Dziś kieruje rozwojem — człowiek

Formowanie się nowych określonych odmian czy form nie było w dawnych czasach przez ludzi kierowane. I tak na przykład pierwsze próby otrzymania nowych odmian grochu drogą krzyżowania pochodziły z końca 18 wieku z Anglii. W innych krajach prace hodowlane rozpoczynają się dopiero kilkadziesiąt lat później. Wprowadzenie do uprawy nieznanych dotąd roślin pozostawione zostało przypadkowi, związanemu z okolicznościami postronnymi.

Obecnie rośliny nasze stanowią na przełomowym etapie swego rozwoju. W oparciu o zdobycie nauki radzieckiej kraj pokrywają liczne stacje doświadczalne i naukowo badawcze, stacje hodowlane, stacje Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin, Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa. W oparciu o nowoczesne zdobycze wiedzy w skróconym czasie wyprowadza się coraz to nowe odmiany, udoskonalając je i dostosowując do miejscowych warunków i potrzeb. Sztaby naukowców pracują bez przerwy. Rozwijają się masowo własne nasienne i importowane odmiany różnych cennych roślin jak trawy, lucerna czy kukurydza.

Wprowadza się do masowej uprawy nowe rośliny: jukę i kanatnik — na włókno, rącznik, krokosz, rzodkiew oleistą, kapustę abisyńską, dynię oleistą, perillę — na olej czy wreszcie pieprz turecki, a nawet ryż.

Wspomnieć, że już w dziewiętnastym wieku ziemie województwa poznańskiego produkowały grochu najwięcej, a z ogólnej powierzchni uprawy ok. 2/3 przypadało na gospodarstwa drobne.

Z młodszych roślin uprawnych wspomniemy jeszcze o kukurydzy, którą w Polsce zaczęto uprawiać dopiero w końcu 18 wieku. Kiedy Krzysztof Kolumb w roku 1492 odkrył Amerykę — kukurydza była tam szeroko uprawiana jako jedyne zboże. Przewieziona natychmiast do Europy kukurydza już w 16 wieku rozpowszechniła się szybko w Afryce, Chinach i Malej Azji. Większość uczonych twierdzi, że ojczyzną kukurydzy jest Meksyk, gdzie uprawa tej rośliny sięga co najmniej trzech tysięcy lat.

Formowanie się nowych określonych odmian czy form nie było w dawnych czasach przez ludzi kierowane. I tak na przykład pierwsze próby otrzymania nowych odmian grochu drogą krzyżowania pochodziły z końca 18 wieku z Anglii. W innych krajach prace hodowlane rozpoczynają się dopiero kilkadziesiąt lat później. Wprowadzenie do uprawy nieznanych dotąd roślin pozostawione zostało przypadkowi, związanemu z okolicznościami postronnymi.

Obecnie rośliny nasze stanowią na przełomowym etapie swego rozwoju. W oparciu o zdobycie nauki radzieckiej kraj pokrywają liczne stacje doświadczalne i naukowo badawcze, stacje hodowlane, stacje Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin, Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa. W oparciu o nowoczesne zdobycze wiedzy w skróconym czasie wyprowadza się coraz to nowe odmiany, udoskonalając je i dostosowując do miejscowych warunków i potrzeb. Sztaby naukowców pracują bez przerwy. Rozwijają się masowo własne nasienne i importowane odmiany różnych cennych roślin jak trawy, lucerna czy kukurydza.

Wprowadza się do masowej uprawy nowe rośliny: jukę i kanatnik — na włókno, rącznik, krokosz, rzodkiew oleistą, kapustę abisyńską, dynię oleistą, perillę — na olej czy wreszcie pieprz turecki, a nawet ryż.

Wspomnieć, że już w dziewiętnastym wieku ziemie województwa poznańskiego produkowały grochu najwięcej, a z ogólnej powierzchni uprawy ok. 2/3 przypadało na gospodarstwa drobne.

Z młodszych roślin uprawnych wspomniemy jeszcze o kukurydzy, którą w Polsce zaczęto uprawiać dopiero w końcu 18 wieku. Kiedy Krzysztof Kolumb w roku 1492 odkrył Amerykę — kukurydza była tam szeroko uprawiana jako jedyne zboże. Przewieziona natychmiast do Europy kukurydza już w 16 wieku rozpowszechniła się szybko w Afryce, Chinach i Malej Azji. Większość uczonych twierdzi, że ojczyzną kukurydzy jest Meksyk, gdzie uprawa tej rośliny sięga co najmniej trzech tysięcy lat.

TRZY Wypowiedzi

„Dostatecznie jasno, Ojciec Święty, zdaje sobie sprawę z tego, że znajdują się ludzie, którzy gdy tylko posłyszczą, że w tych moich księgach o obrotach sfer wszechświata, przypisuję jakieś ruchy kuli ziemskiej, zaraz podniosą krzyk, że należy mnie wraz z tym przekonaniem potępić. Rozmaici wybitni uczeni twierdzą, że im bardziej niedorzeczna wydaje się teraz przeważnie część uczonych ta moja nauka o ruchu Ziemi, tym więcej wzbudzi podziwu i uznania wtedy, gdy przez wydanie niniejszego dzieła zobaczą, jak mroki niedorzeczności zostają rozproszone jasnością oczywistych dowodów... Jeżeli zaś znajdą się może próżni wielomówcy, którzy, pomimo, że są nieukami we wszystkich dziedzinach matematyki, jednak przylaszczają sobie sąd o nich i z powodu jakiegoś miejsca w Piśmie Św. przekreślonego według ich założeń, ośmielą się ganić tę moją naukę i napastować — nie dbam o nich tak dalece, że nawet ich sądem, jako niedorzecznym, gardzę... Łatwo więc Swoją powagą i Swym sądem będziesz mógł stłumić napaści oszczerzych języków, jakkolwiek przysłownie powiada, że nie ma lekarstwa na ukąszenie fałszywego oskarżyciela...“

Tak pisał Kopernik w swej dedykacji, którą powierzał swe epokowe dzieło „De Revolutionibus orbium coelestium“ opiece Pawła III, ówczesnego papieża. Zresztą i ta dedykacja nie ujrzała światła dziennego

przez trzysta lat, ukryta przez pierwszego wydawcę i zasłonięta fałszywym wstępem pióra Andrzeja Osjandra, który przedstawiał w imieniu Kopernika jego pracę jedynie jako hipotezę, która niekoniecznie musi być prawdziwa... Znał Osjander dobrze Kościół, choć i ta ostrożność i oszustwo niewiele pomogły, bo oto w niewiele lat później podpisany został dokument innej treści:

„Doszło do wiadomości Kolegium Świętego, że błędna i fałszywa, całkowicie sprzeczna z Pismem Świętym nauka o ruchu Ziemi, taka, jak ją wykladał Kopernik i niektórzy inni, znów się za naszych dni szerzy. Aby nauka podobna nie rozpowszechniła się ku szkodzie prawdy katolickiej, Kongregacja Święta postanowiła zabronić, aż do ich poprawienia, pism Kopernika oraz wszystkich innych to samo głoszących. Dlatego też pisma te są zakazane i potępione...“

Tak potraktowane zostało przez Kościół dzieło, o którym Engels powiedział:

„Przelamano granice starego „orbis terrarum“, właściwie teraz dopiero odkryto Ziemię... (Myśl Kopernika) udzieliła teologii dymisji... Obalona została duchowa dyktatura Kościoła... Był to największy przewrót postępowy, jaki ludzkość kiedykolwiek do owych czasów przeżyła... Cała historia nowożytna zaczyna się od owej potężnej epoki...“

Wydanie książki pierwszej Kopernika „De Revolutionibus orbium coelestium“ przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe jest wielkiej wagi wydarzeniem naukowym i wydawniczym. Że tak właśnie należy fakt ten ocenić, zasługa to niezwykle starannego trudu, pieczołowitości i pietyzmu, z jakim przystąpiono do pracy nad tym siódmym w ogóle, a drugim polskim wydaniem wielkopennego dzieła Kopernika. Praca nad nim rozpoczęła się na przełomie 1951/52, w poważnym zespole naukowym. Nowe wydanie oparte jest o — przywrócony ostatnio Ojczyźnie autograf Kopernika i zwłaszcza o wydanie „normyberkie“, ale równocześnie uwzględnia ono wszystkie dalsze wydania. Teksty porównuje się z niezwykle żmudnie, nanosi poprawki, praca zaopatrzona jest komentarzami i przypisami, wyjaśniającymi czytelnikowi wątpliwości i niejasności. Wydanie obecne ma przewyższyć starannością zarówno pierwszą polską edycję Baranowskiego z 1854 roku (również łacińską, ale bez przypisów), jak i edycje zagraniczne i ma stać na poziomie godnym współczesnej wiedzy i badań kopernikańskich.

Pierwsza książka „De Revolutionibus“, którą otrzymaliśmy w objętości pierwszych jedenastu rozdziałów, stanowiących pierwotną pierwszą księgę (układ późniejszy był nieco inny) ukazała się pod redakcją Aleksandra Birkenmajera. Tekst łaciński ustalił Ryszard Gansiniec, tłumaczenia na język polski dokonał Mieczysław Brożek, objaśnienia opracował Birkenmajer. Objasnienia te — niezmiernie cenne dla badacza nauki Kopernika — jednocześnie dają wiele cennych informacji o poprzednich wydaniach dzieła Kopernika. Birkenmajer podkreśla w nich m. in. zasługę astronoma warszawskiego, Baranowskiego, który w jubileuszowym wydaniu pomieścił także nieznana dotąd dedykację Kopernika Pawłowi III, rozpowszechniając w ten sposób wiadomość o jej istnieniu i zadając kłam fałszywemu wstępowi Osjandra.

W ślad za książką pierwszą, wydaną tuż przed Sesją Kopernikańską PAN, ukazała się książka dalsze. Imponująca szata graficzna, która wzbudziła zachwyt gości zagranicznych, jest zasługą drukarni wrocławskich z Janem Kuglinem na czele. Nagrodą za ich trud były gorące oklaski, jakimi uczestnicy Sesji Kopernikańskiej powitali ich jako gości honorowych Sesji i słowa uznania, wypowiedziane przy tej okazji przez Prezesa PAN prof. Dembowskiego. (em)

Powieść o niezłomnym rewolucjoniscie

Książka Wsiewołoda Iwanowa o Parchomienku — to wspaniały obraz życia i walki rewolucjonisty, dorastającego i zdobywającego hart i świadomość klasową w ogniu trzech rewolucji: w 1905 r., demokratyczno-burżuazyjnej w roku 1917 i Wielkiej

Rewolucji Październikowej. Z tak niezwykle bogatej historii swojego narodu wybrał autor drogą trafnej selekcji tylko te fakty, które ściśle związały się z życiem jego bohatera. Ale zaraz po tym stwierdzeniu uważnemu czytelnikowi nasunie się wątpliwość, że przecież życie Parchomienki to zwierciadło, w którym odbija się losy całego narodu w jego trudnej, wznowczającej się na fali rewolucyjnej walce o sprawiedliwy ład społeczny. Tak jest istotnie. Losy ludzi typu Parchomienki przez znaczenie i zakres wywołanej działalności obok Czapaiewa, Łazo, Szczorsa i wielu innych nie tylko zostały uwiecznione na kartach Historii KPZR, ale są niejako symbolem i przypomnieniem rewolucyjnego eposu całego rosyjskiego narodu, całej klasy robotniczej i szerokiego rzesz biednego chłopstwa.

Nie jest prostą rzeczą pokusić się w krótkim omówieniu o najbardziej chociażby ogólnikowe zakreślenie ideowo-artystycznej zawartości tomu. Losy Parchomienki zaczynają się w okresie zrywu rewolucyjnego w roku 1905. Obfitują w tak bogate przejścia osobiste, że każdy drobny nawet wycinek tych dziejów mógłby posłużyć za kanwę do szerokiego epickiego potraktowania. Życiowe i rewolucyjne uniwersytety bohatera skupiają doświadczenia gorzkiego losu obszarńczego pastucha, dalej działacza rewolucyjnego, pracującego nad bolszewicką agitacją wśród robotników Moskwy, dalej walki z czarnosieciami, i jeszcze praca w warsztatach mechanicznych — i coraz mocniejszy udział po stronie rosyjskiego proletariatu, przygotowującego pod wodzą Lenina ideowy oręż i taktykę walki dla rychłych już wystąpień październikowych.

Punktem węzłowym w życiu rewolucjonisty jest obrotu na Carycyna przed wojskami Denikina w roku 1919. Tutaj spotyka Stalina, którego KC nowierzył obronę tego newralgicznego punktu frontu południowego. Niedługo później sztab wysłał Parchomienkę do Moskwy jako delegata Rady Wojennej dla spraw zaopatrzenia Północno-Kaukaskiego Okręgu Wojskowego. Parchomienko rozmawia z Leninem, organizuje pociąg wiozący zagrożonemu miastu materiał obronny, wraca do Carycyna i walczy dalej. Później przychodzi front polski i śmierć zadana

z rąk kontrrewolucyjnej bandy Machny z początkiem stycznia 1921 r.

Tak w olbrzymim skrócie przebiegają losy Parchomienki. Ale obok tego bohatera epiki obserwujemy drugi wątek epicki, odświeżający rozległe powiązania i międzynarodowy charakter obcej dywersji i wywiadu zobrazowany na przykładzie Ernesta Strauba. Dziełom agenturalnym wysług tego asa autowego austriackiego, niemieckiego, wreszcie amerykańskiego szpiegostwa towarzyszy stała degrengolada moralna, prowadząca do poniżającej śmierci. Przykładem życia cła Strauba oparta jest w książce o bogaty materiał historyczny, zaczerpnięty przez autora z dzieł I wojny imperialistycznej.

Książka Iwanowa, pisana skrótem, ale energicznie i obrazowo — jest książką bardzo ciekawą, ale i bardzo pouczającą. Z każdej jej karty przemawia historia narodu, który w krwi i trudzie, ale także zwycięsko wszedł na drogę jasnej i sprawiedliwej przyszłości.

P. B.

TEATR doskonałych osiągnięć

(Dokończenie ze str. 1)

miejtność ukazania prawdy życia i idei przy pomocy jak najprostszyszych środków ekspresji. Aktorzy występujący w sztuce Mdiwanego nie grali kolchozników, ale nimi byli, konformowej w istocie roboty reżyserskiej i aktorskiej nigdzie się nie czuło — ani w naturalnych, „życiowych“ dialogach, ani w takich trudnych scenach zbiorowych. Jak posiedzenie zarządu kolchozu w odoslonie 5-ej czy zebranie w świetlicy w odoslonie 2-iej i znów, podobnie jak w poprzednich spektaklach, wszyscy wykonawcy tworzyli idealnie zgrany i wyrównany kolektyw. W efekcie, dzięki doskonałej robocie reżysera i aktorów, „Nowe czasy“, sztuka mówiąca o życiowej sile krytyki i samokrytyki, o porównywalnym wzroście komunistycznej świadomości towarzyszy radzieckich, była dla polskiego widza i czytelnika teatru szczególnie pouczająca, dala nam przykład, jak się powinno ukazywać prawdę ludzi nam bliskich, prawdę przyjaźni, w których ślady idziemy

SPAKULI

stojny. Podobno kilkanaście lat temu miał się żenić z córką bogatego kupca w Śrubikowie, ale to już do opowiadania nie należy. W każdym więc razie Spakula uśiadł na wskazanym mu krześle i z nieodłącznym uśmiechem tkwiącym między wąskimi wargami czekał co powie przewodniczący.

Sprawę postawiono jasno. Do 31 października musi wykonać plan.

Spakula tłumaczył się gęsto, ale Tomaszewski przerwał:

— Nie kręćcie, Spakula. Był mróz, ale wam większej szkody nie wyrządził niż innym. Sprzedajcie zboże sąsiadom, to i dla państwa będziecie mieli.

Wczoraszem kapral Pionkowski rozmawiał z Tomaszewskim. Walczak przyznał, że kupił od Spakuli 3 cetnary żyta.

— To chyba nie pierwszy wypadek — mruknął Tomaszewski — no, tak, nieże ten Spakula kombinuje. A u my narza też trzeba będzie zbadać szczegółowo książki i poszukać wszystkich kantów.

Działo się to w środę, 21 października. W czwartek zjawił się Cieślak.

— Macie pismo?

— Nie, już nie trzeba — odrzekł. — Wczoraj mi wszystko co do grosza wypłacił. Zwolnił też, to inna rzecz. Zresztą, i tak już chciałem robotę u niego rzucić.

— No, no, to mówcie, Spakula zmiekl. Ciekawy jestem, jak dalej będzie. A zboże odstawi?

kontraktacji żywca. Wreszcie wyszedł.

Tak więc sprawa Błażeja Spakuli wydawałaby się skończona. Plan był wykonany, nawet przedterminowo. Ale niedługo po jego wyjściu, do Prezydium zajrzał kapral Pionkowski. Dowiedziawszy się, że Spakula odstawił zboże, zapytał o szczegóły. Długo obracał w ręku kwity, zaciągnął się nerwowo papierosem, potem rzekł:

— Coś mi się ten kwit na jęczmień nie podoba. Tyle jęczmienia oddał, a skąd go wziął? Dajcie mi dokument, jutro oddam.

W poniedziałek wcześnie rano Pionkowski pojechał do GS-u.

Magazynierem był Antoni Wierzbak. Obejrzał kwity i zajrzał do swoich książek. Długo wodził palcem po zapisanych drobnych maczkiem linijkach. Potem podniósł głowę i powiedział:

— Nie, u mnie tego nie ma.

— Jakto nie ma? Jeśli jest kwit, gdzieś musi być kopia, w książce też musi być odnotowane.

— Nie ma. Szukałem.

— Jak wobec tego wytłumaczycie wasz podpis?

Wierzbak zbliżył kwit pod światło. Nagle zaśmiał się:

— Tu jest data 23 października. Jasne, nie mogłem go wypisać, bo w tym dniu mnie nie było.

— A gdzie byliście?

— Musiałem jechać do powiatu. Spytaście się kierownika.

— Spytałem. Kto was w tym dniu zastępował?

— Karczek.

Karczek okazał zdziwienie. Owszem, Spakula był w plątek na punkcie skupu zboża, odstawił 15 ton żyta. O, prozę, jest kwit. Niech pan sam sprawdzi.

— A jęczmienia nie oddawał?

— Nie.

— A może komu innemu?





Serwetkę zabieram zawsze ze sobą

Stadsiży wieczorem przy stole, sotys zmęczonym wzrokiem spojrzął na żonę:

— Ee! — machnął ręką. — Człowiek już nie wie, co ma najpierw zrobić. Znowu nazbierała się tu kupa tych podań o ulgi. Trzeba to wszystko przeczytać, zaopiniować, wysłać do gminy...

— Dużo ich tam? — rzuciła od pieca gospodyni.
— A są tu... dwa. Misiurka i Wiśniewskiego.
— Misiurka? Który to Misiurka?
— A ten, twój daleki krewniak, pod lasem. Pisz tu w uzasadnieniu, że mu żona od dłuższego czasu choruje, w domu pięćciu drobniaków, najstarszy chłopak przy wojsku. No i że krótko po żniwach spalił mu się stóg z żytem. Ma teraz kłopoty z odstawa zboża z tych swoich czterech hektarów...

— No to mu chyba ulgę dadzą.
— Ja też tak myślę. Bo z tym stogiem — to prawda. Hm, żona mu choruje... Nie słyszałaś, co jej jest?
— Nie mam pojęcia. Dwa lata, u nich nie byłam...
— A temu najstarszemu, co jest przy wojsku, jak było na imię? Bo on tu pisze „Jan“.

— Może i Jan. Nie pamiętam. Tak rzadko się widzimy z Misiurkami.

— Jeżeli Jan, to tak jak Wiśniewskiemu.

— Więc Wiśniewski, powiadasz, też napisał wniosek o ulgę?

— Napisał. Ale wątpię, czy mu uwzględnią. Wszyscy wiedzą, że w tym roku zboże dobrze mu sypało. Na 20 hektarach inaczej się sprząta, niż na czterech.

— A pewnie. Gdyby tak źle u nich było, Wiśniewska nie pożyczłaby mi tych 500 zł na prosieta.

— Wiśniewski ma jeszcze pół stodoły niemiłoczonego żyta. Sam mi się do tego przyznał, wczoraj w gospodzie przy kieliszku. Wiesz, jakem ostatnio brał od niego te dwa kwintale zboża dla konia, to nie chciał ani złotówki. Dopiero na wiosnę — powiada — mogę mu oddać. Gdyby tak źle stał, to by mi na rękę nie szedł. Bardzo wątpię, czy mu ten wniosek uwzględnią. Szkoda nawet wysłać do gminy. Oddam mu wniosek w niedzielę jak będzie u nas na imieninach. Tylko, że jak gmina żadnego wniosku nie dostanie, powiedzą, że nie wnioskam w potrzeby mieszkańców gromady. Więc może lepiej podpisać Wiśniewskiemu...

— Możesz przecież podpisać Misiurkowi.

— Widzisz, z Misiurkiem to jest taka sprawa. Wszyscy w gromadzie i w gminie wiedzą, że Misiurka to siostreczka twojego kuzyna. Jak mu podpiszę, to od razu powiedzą, że krewniaków popieram. Kumoterstwo mi wmówią. Nie, nie! Co innego Wiśniewski. Obcy człowiek. Nic nas z nim nie łączy.

(„Szpilki Wielkopolskie“)

Etymologia, czyli pochodzenie pewnych wyrazów stołówkowego użycia

ANANASY: Kontrargument kierowników stołówek. Na każdą skargę odpowiadają: „Chcieliście ananasów...“

BUDYN: Pewien rodzaj deseru (patrz: DESER)

DANIE: pochodzi od pojęcia PODANIE i, podobnie jak to ostatnie, długo czeka na realizację. W odróżnieniu jednak od przedawniania się podań, DANIA mogą tylko wystygnać.

DESER: pewien rodzaj kompotu (patrz: KOMPOT)

GULASZ: z węgierskiego — mięso w formie oszczędnościowej: trudno dostrzegalne.

KOMPOT: pochodzi podobno od powiedzenia „wpaść jak śliwka w kompot“ (niejasność terminu polega na tym, że cała śliwka nigdy mijszeczne w to DANIE nie wpadła — przypisek stołownik).

KIEROWNIK: nazwa ta oznacza danie, którego nigdy nie ma. Dialog wyjaśniający:

— Czemu pani daje makaron, skoro w jadłospisie są ziemniaki? Proszę o ziemniaki!

— Kiedy nie ma na razie. Wyślizły...

— A dlaczego dajecie wczorajsze buraczki, skoro dziś miała być kapusta?

— Bo nie ma już kapusty — wyszła...

— To niesłychane! Proszę kierownika!

— Nie ma kierownika. Wyśzedł...

LENIWE PIEROGI: rodzaj

pierogów, który ze względu na swoją kardynalną cechę, tj. lenistwo nigdy nie zjawia się w stołówkach. Nie mylić z Inspekcją Higieny i Bezpieczeństwa Pracy! (wyjaśnienie autora)

MAKARON: wyraz rdzennie polski, przez niektórych błędnie uważany za włoski. Pochodzenie wyrazu historyczne: jeden ze słabszych nerwów stołowników doprowadzony do rozpaczy stosowaniem tego dania przez dwa tygodnie bez przerwy (w mieście ziemniaków), wykrzyknął z bólem: Och, ma karol! I za jakież to grzechy? Sąsiad, który źle zrozumiał, podał dalej wyraz — makaron.

MIESO: (patrz SZTUKA MIESA)

NOŻ: przedmiot wspominany ze łzami w oczach przez starszych stołowników, szczególnie



JASKI

Cud proszowicki

Mówią „cudów nie ma“,

a przecie zdarzył się w kepińskim powiecie:

Piotr Ciurys jeden,

z Piszczowic

„zboża nie mam — mówię —

nic a nic“.

Łupnęli karę, ile wlezie —

już Ciurys ma zboże, już

wiezie.

*

Wiele może zdziwiać

ródzka czarodziejska —

grzywna.

Traszk

Jeszcze o dyrektorze



Przedstawić mi go tu, pozwólcie on działa, rozpatruje skargi, on trzyma rękę wciąż na pulsie... przeważnie... swojej sekretarki.

Włodzimierz Scisłowski

O „słownym“ chuliganie

czyli przeklinaczu plugawym

W dziejach Rzymu prym on

trzyma —

technie z ust — Cloaca

Maxima..

Jesień

Jest taka jesień. Bez snów,

żali —

kominów lasem w górę pnie

się,

a babie lato — *ka ze stali

żelazna ta — nie złota jesień.

Jasnowidz podłuchał — HENRYK POZNAŃSKI

— Pan się nazywa Stanisław Kubś?

Mały, korpulentny człowieczek, zagadnięty w tak stanowczy sposób, stanął na środku chodnika i spojrzął ze zdumieniem.

— Tak — odpowiedział. — Stanisław Kubś. Ale kto pan jest?

— Pan co prawda mnie nie zna, ale ja wiele wiem o panu. Pan jest majstrem fabrycznym. Nazwy zakładu nie chcę na ulicy wymieniać, ale powiem panu nazwę oddziału, na jakim pan pracuje: Z-18.

— Zgadza się. To dziwne, ale ja pana przecież nie znam!

— Na oddziale Z-18 pracuje dwustu ludzi. Dwustu wykwalifikowanych pracowników. Produkuje...

Tu nieznamy zrobił charakterystyczny ruch rękami.

— Tak — przyznał coraz bardziej zdumiony majster Kubś, po czym zawołał. —

Ale to przecież tajemnica służbowa! To ściśle tajne!

— Dzienna produkcja waszego zakładu — ciągnął ze spokojem nieznamy — wynosi 80 sztuk. Dzięki dobrej jakości prefabrykatów postanowiliśmy jednak podnieść produkcję do 85 sztuk dziennie.

Stanisławowi Kubś zaczęło coś świtać w głowie. Twarz

rozjaśniała mu się uśmiechem i wykrzyknął:

— Już wiem! Pan pracuje w naszych zakładach!

Nieznamy potrząsnął przecząco głową. Poprawił na oczach grube, rogowe okulary. Wyjął z kieszeni jakieś papiery i ciągnął wręczając je równocześnie zaniepokojonemu człowieczkowi.

— Nie. Proszę, oto mój dowód osobisty. Mieszkam w Lublinie. A oto bilet kolejowy, z którego wynika, że do-

— Teraz buduje się w waszych zakładach nową halę, w której rozpocznie się produkcja systemu to-

wym. Dzięki temu na produkcję wzrośnie do 120 sztuk. Niedawno dostaliście nowe zagraniczne maszyny, które jeszcze nie są

zmontowane. Jest ich pięć. Są to tokarki, które...

— Panie! — zawołał gło-

sem pełnym podziwu i strachu majster Kubś. — To

przecież najbardziej strzeżo-

ne tajemnice służbowe! To

genialne! Jak pan doszedł do

takiej umiejętności w jasnowidzeniu?!

— Mój system... — uśmiech

nał się tajemniczo nieznamy.

— Jeżeli pan chce, sprze-

dam go za sto złotych.

— I wtedy będę wiedział

wszystko o innych ludziach

z takimi szczegółami, jak

pan o mnie?

— Oczywiście!

— Proszę, oto jest sto zło-

tych. A teraz niech mi pan

powie co mam robić, żeby

być takim jasnowidzem, jak

pan?!

Nieznamy schował bank-

not do kieszeni marynarki i

drwiłaco rzekł:

— Niech pan jeździ tram-

watem. Wszystko co panu

przed chwilą powiedziałem,

podłuchałem jak pan opo-

wiadał swemu koledze w

tramwaju.

WAZELINIARZ

Tu coś powie, tam coś wtrą-

ci —

wszędzie schlebła miłe on ci,

wszędzie dobrze leć swój

wciśnię,

nie przepuści, nie pominie —

aż się wkońcu gdzieś pośliznie

na swej własnej wazelinie..

CHÓR KUŁAKÓW: Wymarzło, wypaliło, wyschło, wymokło

(„Szpilki Wielkopolskie“)

wtedy, gdy na obiad (patrz OBIAD) jest mięso (patrz MIĘSO). Dzisiaj bowiem nie ma w stołówkach, choć kiedyś był to przedmiot dość powszechny. Wyraz pochodzi też z tych czasów. Powstał ze zwrotu: „NUŻ IM SIĘ SPODOBA?“ (patrz rysunek o popielnicze).

OBIAD: pochodzi ze zdania wykrzyknikowego „O BIAD-a mi! Zjadłem, lecz głodnym...“

OBSŁUGA: termin rozumiany jako obraz dla personelu. Twierdzą, że żaden ob. służa być nie może dla ob. ob. Stąd też OBSŁUGI nie ma.

POPIELNICZKA: słowo bez pokrycia w wielu stołówkach. Nie wiadomo skąd przyszło. Prawdopodobnie w formie plotki, ponieważ nie ma przedmiotu, który by można tym wyrazem określić. (W rzadkich wypadkach spotyka ją łoś, jak na rysunku poniżej).

SERWETKA: pojęcie rzeczy nieterwalej, a więc zbytecznej. Raz użyta (papierowa) jest już do niczego, dlatego nie ma jej w ogóle. Coś jakby stołówkowa fatamorgana. (Patrz rys. górny).

SOS: wiadomo co określa, ale nie można się domyślić skąd S. O. S.?! Jeszcze przecież nigdy w tym nic nie tonęło.

STOŁOWAC: wyraz złożony. W skład jego wchodzi dwa pojęcia: STO-i (tzn. stoi i długo czeka w kolejce) oraz -ŁOWAC (ze się przyzwyczailo od dziecka jadać jadaby).

SZTUKA MIESA: termin trudny do wyjaśnienia. Istnieje co do niego dwa stanowiska naukowe. Jeden z badaczy twierdzi, że mięso to sprawa SZTUKI i stąd subtelna jego forma — plasterki. Drugi tłumaczy to wyrażenie błędem graficznym w pier-

Wszystkie biadania

Każdy ciekawie ucha nakłania

Co powie ptak ten, najmądrzejszy

w borze.

„Mów — przynaglały — mów

już, doktorze!“

Dzieciół odchrząknął i mocnym

dziobem

Zastukał w korę swoim sposo-

bem.

Potem wsluchawszy się w lasu

ciszę:

„Dziwne tu rzeczy — powiedział —

— słyszę.

Sroka swe gniazdko wije — po-

wiada

Z tego, co innym ptakom od-

krada.

Skończyć należy te beczeczki:

Usunąć srokę ze społeczeństwa!“

Gdy się rozejrzysz dobrze na

boki,

Zobaczysz, że są i ludzie-sroki.

Co miast uczciwie pędzić swe

życie,

Kradną, gdzie mogą: tajemnie,

skrycie.

Lecz, że niedługo, w to mi

uwierzeć:

Przebiorą miarke i wpadną

wreszcie!

Pięciobój nowoczesny

w/g „Frischer Wind“)

ROZRYWKI

umysłowe

1 Tajemniczy alfabet

Każdy znak zastępuje literę.

Powtarzanie się tych samych

znaków oznacza powtarzanie się

tej samej litery. Według niżej

podanych znaczeń odnależ ośmi

piecioliterowych nazw zwierząt

i ptaków; środkowe litery czyta-

ne z góry na dół dadzą rozwią-

zanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak

drapieżny z rodziny sokołów. 2.

Samica byka, zuba, łoś. 3.

Ptaka z rodziny kruków o ple-

cach i brzuchu popielatym resz-

ta ciała czarna. 4. Ptak wró-

blowaty, przelotny, barwy żółtej

z czarnymi skrzydłami i ogonem

czarnym 5. Ptak wróblowaty

T. T. K. K. R.

Przetłumacz odpowiednio

powyższe litery oraz uzupełnij

sztyb czterokrotnym podaniem

jednej i tej samej samogłoski,

otrzymać wyraz z dziedziny hy-

drografii.

Wśród osób, które nadesła pra-

widlowe rozwiązanie przynaj-

mniej jednego zadania rozryw-

kowego, rozlosujemy 5 warto-

ściowych nagród książkowych.

Rozwiązania należy nadsyłać w

terminie tygodniowym pod adre-

sem: Redakcja „Głosu Wielko-

polskiego“, Grunwaldzka 19, z

dopiskiem na kopercie „Roz-

rywki umysłowe“.

Rozwiązanie

zadań z dnia 1 XI bm.

1. Anagram literacki: WIKTOR

NIEKRASOW (wrotki — rekin

— sowa) — „W okopach Stalin-

gradu“

2. Zagadki - żarciki: I. uciecha

(u, é, h); II. gotowy (go-to-wy).

Nazwiska osób które wylosowa-

ły nagrody książkowe podamy

w następnym numerze.



CHÓR KUŁAKÓW: Wymarzło, wypaliło, wyschło, wymokło

(„Szpilki Wielkopolskie“)